



BERNARD

Cornwell

WOJNY
WIKINGÓW
TOM V



PŁONĄCE
ZIEMIE



BERNARD
Cornwell

PŁONĄCE
ZIEMIE

TLUMACZENIE
MATEUSZ PYZIAK



OTWARTE

KRAKÓW 2019

Tytuł oryginału: *The Burning Land*

Copyright © Bernard Cornwell 2009

Copyright for this edition © Wydawnictwo Otwarte 2019

Tłumaczenie: Mateusz Pyziak

Opracowanie tłumaczenia: Emilia Rydzewska

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog, Monika Rossiter

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: d2d.pl

Projekt okładki i wyklejek: Eliza Luty

ISBN 978-83-7515-531-0



www.otwarte.eu

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

CZĘŚĆ PIERWSZA

PAN MIECZY

PROLOG

Niedawno zatrzymałem się w klasztorze, gdzieś na ziemiach należących do Mercji. Zmierałem w rodzinne strony, wiodąc dwunastu wojowników. Czas był zimowy, lecz nie mroźny, tylko słotny, rozglądałem się więc za schronieniem dla siebie i swoich ludzi, gdzie moglibyśmy odtajać i zaspokoić głód. Mnisi przywitali nas niechętnie, sądząc zapewne, że pod ich bramy zajeżdża zgraja wikingów. Sława musiała mnie wyprzedzić, ponieważ gdy usłyszeli, że stoi przed nimi Uhtred z Bebbanburga, przelękli się, jakby nastąpiła ich ostatnia godzina.

– Wierzę, że podzielicie się z nami chlebem – wyłożyłem złęknionym zakonnikom. – Nadto przydałby się ser i odrobina ale, gdyby ojcowie byli tak łaskawi. – Cisnąłem garść monet na klasztorną posadzkę. – Chleb, ser i ale tudzież godziwe posłanie. Oto, czego potrzebujemy!

Następnego ranka wietrzysko przyгнаło nawałnicę podobną do tej, jaka ma ponoć zwiastować zmierzch świata, toteż pozostaliśmy w opactwie, czekając, aż przejmujący, smagający deszczem wichur przycichnie. Z braku lepszego zajęcia przechadzałem się po gmaszysku klasztoru, aż wilgotnymi korytarzami zawędrowałem do izby, w której trzech młodych, ale ponurych mnichów pochylało się nad manuskryptami.

Pieczę nad nieszczęśnikami sprawował sędziwy kleryk otulony obszytą futrem stulą. Ściągnięte wzdargliwym grymasem oblicze starca okalał wieniec siwych włosów, w rękach zaś nadzorca trzymał skórzany batog, ani chybi, służący do za-grzewania skrybów do wytężonej pracy.

– Nie wolno niepokoić kopistów, panie – przestrzegł mnie usadowiony na taborecie staruch. Ogrzewał się przy mo-siężnym kotle pełnym żarzących się węgla, od którego było ciepło, nieobejmujące wszakże swym kręgiem zgarbionych nad pulpitemi młodzieńców.

– Tutejszy wychodek trzeba wylizać do czysta – sarkną-łem. – A ty, zdaje się, nie masz żadnego zajęcia.

Nadzorca od razu stracił rezon i nie czynił mi dalszych wstrętów, gdy powodowany ciekawością zaglądałem skry-bom przez ramię. Pierwszy z nich, młodzian o pozbawionej wyrazu nalanej twarzy przepisywał żywot Świętego Kie-rana*. Historia ta opowiada o wilku, borsuku i lisie – owe leśne zwierzęta miały jakoby dopomóc świętemu w budo-wie pewnego kościoła w Irlandii. Zażywny kopista, noszący powalany atramentem habit, wydymał pełne usta i kiwając miarowo głową, pod którą zwisało wydatne wole, z zapa-miętaniem poskrzypywał piórem. Przemknęło mi przez myśl, iż by dawać wiarę podobnym bzdurcom – sługa boży musiał być takim głupcem, na jakiego wyglądał. Drugi skryba mo-zolił się nad odpisem aktu własności, czyli z pozoru całkiem dorzecznym zajęciem, choć, jak miemam, przykładał rękę do oszustwa. Za klasztornymi murami bowiem nierzadko

* Święty Kieran lub Kiaran (irl. *Ciáran*) z Saigir – irlandzki biskup i opat, urodzony na Cape Clear (irl. *Oileán Chléire*), wysepce u południowo-zachod-nich wybrzeży Zielonej Wyspy. Zmarł około 530 roku w klasztorze Saigir. Jest uznawany za jednego z „dwunastu apostołów Irlandii” (przyp. tłum.).

sporządza się celowo postarzane akty, które kłamliwie poświadczają, że ten czy inny na polu zapomniany król zrzeka się swych rozległych włości. Na rzecz Kościoła, ma się rozumieć. Podrobione akty pozwalają wyrugować prawowitych właścicieli bądź też wymusić na nich wysoką grzywnę – tytułem zadośćuczynienia za wymagowane nieprawne użytkowanie ziem. Swego czasu i mnie próbowano okpić w podobny sposób. Jakiś klecha pojawił się w mych progach, wymachując poźółkłym pergaminem. Obryzgałem oszukańcze pismo szczynami i posłałem dwudziestu wprawnie władających mieczem mężczyzn, by strzegli spornych terenów. Nadto pchnąłem umyślnego do biskupa, zawiadamiając go, że jeśli pragnie zająć mą dziedzinę, niech próbuje swych sił. Przechera nie podjął wyzwania. Prości ludzie upominają swe pociechy, że gorliwość poparta gospodarnością to podstawa wszelkiej pomyślności. Równie dobrze mogą wpierać dziatwie, że borsuk, lis i wilk, gdyby tylko się zawzięły, zdołałyby wznieść kościół. Wiadomo przecież, że jeśli ktoś pragnie dochrapać się majątku, winien osiąść na biskupstwie bądź objąć opactwo, po czym powołując się na przyzwolenie niebios, uciekać się do matactw i łgarstw.

Ostatni młodzian przepisywał kronikę. Odwiodłem ręką jego dzierżącą pióro dłoń, by przeczytać ostatnią linię, którą skreślił.

– Czyżbyś znalazł pismo, panie? – nagabnął mnie stary zakonnik. Z pozoru niewinne zapytanie podszyte było kąśliwą ironią.

– „Owego roku – zacząłem czytać na głos – poganie raz jeszcze naruszyli granice Wessexu. Nieprzeliczone hordy, jakich nigdy wcześniej nie widziano, poczęły siać spustoszenie, niosąc zagładę pobożnej ludności. Wtedy wszakże, z łaski

Pana naszego Jezusa Chrystusa, na ratunek pospieszył ealdorman Aethelred z Mercji, by stając na czele armii pod Fearnhamme, wygubić pogańskie zastępy”. – Wskazując palcem dopiero co przeczytany ustęp, zapytałem: – A kiedyż to się zdarzyło?

– Roku Pańskiego osiemset dziewięćdziesiątego drugiego, panie – odrzekł niepewnie młody mnich.

– A co to w ogóle ma być? – zapytałem, trącając dłonią kopiowane przez mnicha pergaminy.

– Roczniki – odpowiedział z godnością siwy zakonnik. – *Annaly Mercji*. Jedna jedyna kopia, panie. Sporządzamy jej odpis.

– Aethelred ocalił Wessex? – zdumiałem się, obrzucając wzrokiem świeżo zapisaną kartę.

– Zaiste – odparł z przekonaniem zakonnik – z Boskim wspomżeniem.

– Zaiste! Boskim! – wykrzyknąłem. – I moim! Albowiem Sasów wiodłem do bitwy ja, nie Aethelred!

Mnisi oniemieli, wytrzeszczając oczy. Jeden z mych wiernych towarzyszy, pojawiwszy się w drzwiach, uśmiechnął się szeroko, ukazując przy tym niepełne uzębienie.

– Walczyłem pod Fearnhamme! – rzuciłem gniewnie i chwytając jedyną kopię *Annalów Mercji*, począłem przerzucać sztywne karty. Co rusz natykałem się na imię ealdormana Mercji, lecz nigdzie nie dostrzegłem swojego. Kilkakroć trafiłem na wzmianki o królu Wessexu Alfredzie, wszelako kronikarz w ogóle nie wspomniał ani mnie, ani Aethelflaed. Za to wszędzie było w oczy to samo imię: Aethelred, Aethelred, Aethelred. Odszukałem na powrót urywek traktujący o zdarzeniach pod Fearnhamme i podjąłem: – „Tegoż samego roku dzięki Bożej przychyłności ealdorman Aethelred i stający

z nim ramię w ramię *aetheling** Edward poprowadzili zbrojny lud mercyjski do Beamfleot, skąd krwawo rozprawiwszy się z poganami, powrócili z obfitą zdobyczą”. – A zatem to Aethelred i Edward prowadzili Sasów pod Beamfleot? – zapytałem szorstko, mierząc siwego mnicha baczny spojrzeniem.

– Tak mówią przekazy, panie – ozwał się staruszek, do reszty tracąc pewność siebie.

– Przecież to ja wtedy wiodłem saskie wojska, bękartie! – warknąłem na dobre już rozwścieczony. Zgarnąłem z pulpitu zarówno annały, jak i stos skopiovanych kart, po czym obróciłem się ku kociolkowi z żarem.

– Wstrzymaj się, panie! – Nadzorca skryptorium stanął mi na drodze.

– To wierutne kłamstwa – rzekłem niewzruszony.

Mnich uniósł dłoń, pragnąc ostudzić mój gniew.

– Przez cztery dziesięciolecia ślęczeliśmy nad pulpitami, sporządzając te oto roczniki, panie – rzekł błagalnym tonem. – To dzieje naszego ludu! Jedna jedyna kopia!

– Tyle że nie ma w nich krzty prawdy! – stwierdziłem. – Walczyłem na wzgórzach Fearnhamme, a potem szturmowałem otoczony fosą Beamfleot. A ty, mnichu, gdzie wtedy bawiłeś?

– W owym czasie byłem dzieckiem, panie – odrzekł z pokorą wiekowy zakonnik.

* *Aetheling* (stang.) – pierwotnie, w czasach pierwszych państw anglosaskich w Brytanii, słowo to oznaczało każdą szlachetnie urodzoną osobę (od *aethel* – szlachetnie urodzony/szlachetność). Potem (najpóźniej w X wieku) zaczęło być odnoszone do pretendujących do tronu członków dynastii królewskiej. W najstarszym staroangielskim eposie *Beowulf* „synem aethelinga” nazwano herosa Sigemunda, nie wiadomo jednak, czy w starszym, czy w nowszym znaczeniu (przyp. tłum.).

Cisnąłem manuskrypt w żar. Z gardła mnicha wyrwał się zdławiony jęk. Staruszek rzucił się, by ratować zajmujący się ogniem pergamin. Pochwyciłem go za kościstą rękę.

– Byłem pod Fearnhamme – stwierdziłem dobitnie, przyglądając się ciemniejącym i skręcającym się w trzaskających płomieniach kartom. – Byłem tam – powtórzyłem głucho.

– Trud czterech dziesięcioleci! – wykrztusił z niedowierzaniem nadzorca.

– Jeśli pragniecie poznać prawdę – zwróciłem się do zakonników na odchodnym – przybądźcie do Bebbanburga.

Mercyjscy mnisi nigdy nie zawitali w mym domu, czemu się wcale nie dziwię.

Naprawdę walczyłem pod Fearnhamme. Posłuchajcie zatem prawdziwej historii o tamtych wydarzeniach.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nastał rzeński poranek. Nad oblany pasowym rumieńcem i połyskującym srebrzyście morzem snuły się strzępiaste mgły, przesłaniając wybrzeża: na południu Kentu, na północy Anglii Wschodniej. Londyn został za nami, a wprost przed dziobem ukazywał się moim młodym wówczas oczom rąbek słońca złoćący rozsiane po jasnym niebie obłoki.

Unosiliśmy się na wodach rozlewiska Tamizy, łączącej się tutaj z morzem. Kadłub Seolferwulfa lekko przeciekał, co jest rzeczą normalną w przypadku dopiero co zwodowanych łodzi. Do jej budowy fryzyjscy szkutnicy użyli lśniącego białą dębu, dlatego nazwałem swój okręt „Srebrzysty Wilk”. W ślad za nami sunęły dwa inne statki wojenne: najpierw Kenel*, ochrzczony tak przez króla Alfreda na cześć pewnego dawno zmarłego świętego, a potem Smoczy Wędrowiec – zdobyty przez nas na Duńczykach. Istne чудо. Wystarczało na niego spojrzeć, by zrozumieć, że jest dziełem ludzi Północy. Zgrabna

* Święty Kenelm (stang. Cynehelm) – według legendy miał w 819 roku objąć tron Mercji, a wkrótce potem padł ofiarą spisku uknutego przez siostrę: jej kochanek uciął władcy głowę podczas polowania. Zmarły uleciał pod postacią białego gołębia do Rzymu, niosąc do papieża list z opisem zamachu. Skrytobójcy zostali straceni, Kenelma uznano za męczennika i czczono w Anglii. W rzeczywistości Kenelm przez krótki czas panował w Mercji na przełomie VIII i IX wieku (przyj. tłum.).

smocza łódź, łagodna i posłuszna życzeniom sternika, w wirze bitewnym stawiała się śmiercionośnym orężem.

Jednak Srebrzysty Wilk – o długim kilu, szerokich pokładniach i dumnie zadartym dziobie – w niczym nie ustępował idącemu jego śladem zdobycznemu okrętowi. Nie żałowałem złota fryzyjskim mistrzom, powierzając im ciesielską robotę nad swoim statkiem. Potem przypatrywałem się, jak jego dębowy szkielec rośnie z dnia na dzień, by wreszcie okryć się poszyciem aż po pysznie wygiętą ku niebu dziobnicę. Tę zwieńczył wyrzeźbiony w drewnie wilczy łeb. Kazałem pociągnąć głowę zwierza białym barwidłem, jego oczy i wywieszony z rozwartej paszczy jęzor czerwonym, kły zaś żółtym. Erkenwald, biskup i faktyczny zarządca Londynu z ramienia królewskiego, czynił mi wymówki, niedwuznacznie dając do zrozumienia, iż winienem ochrzcić Srebrzystego Wilka na cześć jakiegoś świątobliwego niedołęgi, którego imienia nawet nie pamiętam. Potem, wciskając mi krucyfiks w rękę, przykazał surowo, bym opatrzył maszt tym znakiem Chrystusa. Nie uczyniłem nic podobnego, zamiast tego rzuciłem drewnianego bożka wraz z jego drewnianym krzyżem w ogień, a popioły wsypałem do koryta z tłuczonymi jabłkami, którymi nakarmiłem świnię. Albowiem czczę Thora.

Owego ranka – jakże wiele pięknych poranków pamiętam z odległej młodości – wiosła Srebrzystego Wilka zanurzały się miarowo w lśniącym, oblanym pąsem morzu. Nad wieńczącym stewę dziobową wilczym łbem sterczała gęsto porośnięta liśćmi rosochata dębowa gałąź, by nasi wrogowie wiedzieli, że przybywamy w pokoju – chociaż moi ludzie nałożyli długie kolczugi, a nawet ci z nich, którzy zasiedli przy wiosłach, mieli broń na podorędziu. Finan, dowódca mej straży, przykucnęła na pomoście sterowym i z rozbawieniem przysłuchiwała się tyradom ojca Willibalda.

– Na wielu Duńczyków spłynęło Chrystusowe miłosierdzie – głądził ksiądz. Odkąd w Londynie wstąpił na pokład, bez ustanku plół niestworzone brednie, ale znosiłem jego gadulstwo ze spokojem, jako że darzyłem tego pełnego zapалу, poświęcenia i nieustającej pogody ducha człowieka serdeczną przyjaźnią. – Z Boską pomocą – ciągnął z przejściem Willibald – sprawimy, iż zatraceni ujrzą światło Chrystusa!

– A gdyby tak Duńczycy poczuli posyłać krzewicieli swej wiary do Wessexu? – zapytałem.

– Powstrzymuje ich Boska ręka, panie – odparł z przekonaniem mój świątobliwy przyjaciel.

Jego współtowarzysz, ksiądz, którego imię dawno uleciało z mej pamięci, przytaknął solennie.

– A może zwyczajnie mają lepsze zajęcia? – zasugerowałem.

– Jeśli Duńczycy zechcą nadstawić uszu – przekonywał z właściwą sobie prostodusznością niezrażony Willibald – przyjmą Chrystusowe przesłanie z błogim rozradowaniem!

– Jesteś naiwnym durniem, ojcze – wytknąłem mu po przyjacielsku. – Czy zdajesz sobie sprawę, ilu misjonarzy wyprawionych przez Alfreda do Duńczyków marnie skończyło?

– Sługa Boży gotów jest umrzeć męczeńską śmiercią – odpowiedział z pozornym spokojem, lecz w jego głosie dosłyszałem drżenie.

– Przeważnie wypruwają klerykom flaki – dorzuciłem w zamyśleniu – bądź wylupiają oczy, obrzynają język tudzież przyrodzenie... Pamiętasz zapewne zakonnika, którego znaleźliśmy w Yppe – zwróciłem się do Finana, któremu wiarę chrześcijańską wpojono w dzieciństwie, gdy mieszkał w rodzimej Irlandii, skąd swego czasu mój najwierniejszy druh został zdradziecko wyrugowany. Chociaż na dobrą sprawę tamtejsze chrześcijaństwo, na wskroś przepojone dawnymi

wierzeniami Irlandczyków, niewiele miało wspólnego z religią, którą szerzył Willibald. – Jak ów nieszczęśnik dokonał żywota?

– Miejscowi oskórowali biedną duszę – odrzekł Finan.

– Od stóp do głów? – zaciekawilem się.

– Drąc z niego pasy – potwierdził. – Biedak musiał konać przez wiele godzin.

– Jeśli nie dni – podchwycilem. – Człowieka nie tak łatwo obedrzeć ze skóry jak, dajmy na to, jagnię.

– Racja – przyznał. – Pewno skubali nieboraka kawalek po kawalku i zdrowo się przy tym naszarpali.

– Nieborak ów krzewił chrześcijaństwo wśród pogan – wyłożyłem Willibaldowi.

– I poległ jako błogosławiony cierpiętnik – przyświadczył ochoczo Irlandczyk, a po chwili namysłu dodał: – Zdaje się, że oprawcom zbrzydła jego niekończąca się agonია, bo na ostatek rozcięli mnicha na dwie części. Piłą do drzewa.

– Łatwiej byłoby im zwyczajnie rozrąbać go toporem – rzuciłem.

– Co prawda, to prawda, panie, oni wszakże rozcięli jego ciało w pasie – ciągnął Finan z szelmowskim uśmiechem. – Zębiska piły szarpały broczący krwią zewłok. Nieludzki widok.

Słyszając tę obrazową opowieść, ojciec Willibald, który nigdy nie czuł się zbyt dobrze na rozchwianym pokładzie, zbladł i chwiejnie, ruszył ku burcie.

Obróciłem okręt dziobem na południe. Wprawdzie wody przybrzeżne ujścia Tamizy mają złą reputację, lecz znałem tamtejsze zdradliwe płycizny, gwałtowne wahania pływów i zwodnicze prądy – wszak od dobrych pięciu lat patrolowałem wybrzeża rozlewiska. Dlatego, z rzadka tylko zerkając ku punktom orientacyjnym, skierowałem statek ku brzegom

Scaepege. Tam, pomiędzy burtami dwóch wyciągniętych na brzeg okrętów, ustawił się nieprzyjaciel. Duńczycy. Przynajmniej stu wojowników pod bronią i w połyskujących w porannym słońcu kolczugach oraz hełmach.

– Moglibyśmy ich wszystkich wyrznąć – zauważyłem, zwracając się do przyjaciela z wyspy Irów. – Mamy na to dość ludzi.

– Uradziliśmy wszak, iż dochowamy pokoju! – zakrzyknął ojciec Willibald, obtarłszy usta rękawem.

Zaiste, wiązało nas dane słowo i go nie złamaliśmy.

Wydałem rozkaz, by Kenelm i Smoczy Wędrowiec rzuciły kotwice w niewielkiej odległości od grząskiego wybrzeża, a sam skierowałem Srebrzystego Wilka wprost na chylący się lekko ku wodzie mulisty brzeg. Mój statek, popychany długimi pociągnięciami wiosel, popłynął tam, gdzie stały dwie duńskie łodzie. Dziobnica z sykiem zaryła w miękkie błoto i znieruchomiała. Kil utkwił głęboko w szlamie, co gwarantowało, iż Srebrzysty Wilk pozostanie w wyciętym przez siebie zagłębieniu do czasu, aż uwolnią go przybierające pomalą wody. Zeskoczyłem z pokładu dziobowego wprost na brzeg, a potem – zapadając się po kolana – począłem brnąć przez muł, by wydostać się na stały ląd, gdzie czekał nieprzyjaciel.

– Uhtredzie, mój panie – odezwał się wódz Duńczyków i rozłożył ramiona, uśmiechając się na przywitanie.

Na jego krzepkie barki luźno spadały płowe włosy, a porastająca kanciastą szczękę jasna broda zapleciona została w pięć warkoczy, każdy spięty srebrną klamrą. Przedramiona stojącego naprzeciw mnie mężczyzny były opasane lśniącymi srebrzyście i złociście bransoletkami, a jego pas nabijany był złotymi ćwiekami. Okazała postać duńskiego przywódcy świadczyła o zaznanym w życiu powodzeniu, serdeczne wejrzenie zaś wzbudzało zaufanie. Jednakże wielokroć

przekonałem się, iż jedyne, czemu u Haestena można było ufać, to jakości kruszców, z jakich wykonano noszone przez niego błyskotki.

– Jakże cieszy mnie widok starego i nieocenionego przyjaciela! – oznajmił, szczerząc się w uśmiechu.

– Jarl Haesten – odpowiedziałem.

Użyłem tytułu, który sam sobie nadał, chociaż w moim mniemaniu nie był nikim więcej jak morskim rozbójnikiem. Cóż, znałem lajdaka od lat. Kiedyś nieopatrznie ocaliłem go od zguby. Odtąd wciąż starałem się naprawić ów błąd, lecz mieniący się jarlem pirat wciąż wymykał mi się z rąk. Pięć lat wcześniej, gdy nasze drogi ponownie się skrzyżowały, niewiele brakowało, a udałoby mi się posłać szelmę w zaświaty. Później, jak doszły mnie słuchy, wiatry zanosły go do kraju Franków. Powiadano, iż w zamorskich stronach lotr – prócz tego, że doczekał się kolejnego męskiego potomka – zgromadził moc srebra i zyskał wielu zwolenników. Znalazło to potwierdzenie owego pięknego poranka – nie były zmyślane pogłoski, iż przywiedziona przez niego do Wessexu flota liczyła blisko osiemdziesiąt smoczycich łodzi.

– Miałem nadzieję, że Alfred wyprawi do nas właśnie ciebie – oświadczył promiennie uśmiechnięty Duńczyk.

– Gdyby nie rozkaz królewski, abym przybył tutaj w pokoju – odparłem, krzepko ściskając wyciągniętą prawicę wodza wikingów – dawno już skróciłbym cię o głowę.

– Szczekasz jak najęty – odrzekł, wyraźnie ubawiony – a wiadomo, że hałaśliwy psiak rzadko kiedy rzuca się do gardła.

Puściłem zaczepkę mimo uszu, jako że wypełniałem wolę swego pana, który nie życzył sobie wszczynania walk. Zamiast tego saski władca postanowił uszczęśliwić Haestena, posyłając

mu dwóch misjonarzy. Tymczasem Willibald i jego współtowarzysz, korzystając z pomocy załogi Srebrzystego Wilka, wyszli na brzeg i stanęli u mego boku z bladym uśmiechem. Ma się rozumieć, że obaj wyprawieni przez Alfreda klerycy znali mowę Duńczyków. Król w swej mądrości słał morskim rozbójnikom – prócz księży – warunki ugody, a także złoto i srebro mające zapewnić jej dopełnienie. Przywódca piratów, kiedy usłyszał z naszych ust o królewskich darach – którą to wieść odebrał, przybierając maskę obojętności – zaczął usilnie nastawać, abyśmy pozwolili mu się ugościć, po czym poprowadził nas do naprędce wzniesionego obozu.

Haesten pozostawił główne siły w pewnym oddaleniu, na wschód od Scaepege, gdzie załogi blisko osiemdziesięciu okrętów wzniosły obwiedziony umocnieniami obóz. Duńczyk nie życzył sobie widzieć poselstwa Alfreda w owej dopiero co założonej nadmorskiej warowni, zażądał więc, aby nasze spotkanie odbyło się na Scaepege – odludnej, podmokłej wyspie, ciemnej od błota, gdzie mimo pełni lata wśród porośniętych szczawikiem mokradel stały cuchnące bajora. Wiking przybił tam z dwudniowym wyprzedzeniem, co pozwoliło mu przygotować doraźne obozowisko. Przeto na suchym pagórku opasanym wałem kolczastej roślinności czekały dwa namioty z żaglowego płótna.

– Zasiądźcie do wieczerzy – zwrócił się do nas dwornie gospodarz, szerokim gestem wskazując otoczony tuzinem prostych siedzisk stół na kozłach. Za całą drużynę miałem Finana, dwóch wojowników ze swojej straży i tyłuż księży. Wszelako Haesten nie przystał na to, by klerycy zasiedli z nami przy wspólnym stole. – Nie mam zaufania do chrześcijańskich czarowników – dodał gwoli wyjaśnienia. – Niechże usadowią się na ziemi.

Pólnagie niewolnice wniosły prosty posiłek, na który składały się rybna polewka i stwardniały na kamień chleb. Żadna spośród służących nie wyglądała na więcej niż czternaście – piętnaście lat, a typ ich urody nie pozostawiał wątpliwości co do pochodzenia – wszystkie co do jednej były saskiej krwi.

Haesten z rozmysłem upokarzał dziewczki i nas, by mnie sprowokować, wyraźnie ciekaw, czy będę chciał uczynić coś dla niewolnic.

– To branki z Wessexu? – zagadnąłem ostrożnie.

– Skądże znowu – obruszył się samozwańczy jarl. – Moi ludzie pojмали je w Anglii Wschodniej. Czyżby któraś wpadła ci w oko, panie? Spójrz tylko na tę młódkę o jędrnych, twardych jak jabłka piersiátkach!

Zapytałem dziewczynę o sterczących piersiach, gdzie trafiła do niewoli, lecz ta, najwyraźniej oniemiała ze strachu, pokiwała tylko głową, nalewając mi słodzone jagodami piwo.

– Skąd pochodzisz? – ponowiłem pytanie.

Haesten zmierzył służkę lubieżnym spojrzeniem, najwięcej uwagi poświęcając jej obnażonym kształtnym piersiom.

– Odpowiadaj, kiedy pan pyta – polecił, także przechodząc na angielski.

– A bo ja wiem, panie? – wymamrotała.

– Gdzie został twój dom? W Wessexie czy może w Anglii Wschodniej? – dopytywałem.

– We wsi, panie – odpowiedziała, a ja odprawilem niemotę machnięciem ręki, albowiem wydało mi się wątpliwe, abym dowiedział się od niej czegokolwiek ponad to, co usłyszałem.

– Mam nadzieję, iż twa małżonka cieszy się dobrym zdrowiem, panie – zagadnął Haesten, odprowadzając spojrzeniem zgrabną służkę.

– Owszem.

– Miło mi to słyszeć – dorzucił z całkiem przekonującym uśmiechem. Naraz bystre oczy jarla poweselały. – Mów zatem: jakie posłanie wieziesz mi od swego pana? – zapytał bez ceremonii, przechylając łyżkę z polewką tak bardzo, że zupa polala się po jego starannie zaplecionej brodzie.

– Życzeniem króla jest, abyś opuścił Wessex – oświadczyłem.

– A czemuż to miałbym opuszczać Wessex?! – obruszył się Haesten z podszytym drwiną przerażeniem. Omiatając wzrokiem ciągnące się aż po widnokrąg niegościnne moczary, podjął: – Czyż mógłbym bez żalu porzucić tę jakże urokliwą okolicę?

– Masz zabierać się z Wessexu – orzekłem z naciskiem – i trzymać z dala od Mercji. Ponadto król żąda od ciebie dwóch zakładników i obietnicy, iż przyjmiesz do swej świty paru misjonarzy.

– Misjonarzy? – zdumiał się wiking i udając, że wpada w gniew, wymierzył w moim kierunku kościaną chochlę. – Earlu Uhtredzie, jakoś nie chce mi się wierzyć, byś pochwalał podobne natręctwo! Ty, który dotrzymujesz wiary prawdziwym bogom! – rzekł, po czym okręcił się na stołku i spojrział z ukosa na kucających nieopodal księży. – Najwyżej ich ubiję.

– Tylko się waż – syknąłem – a wyszarpię ci ślepie, pozostawiając ziejące krwawe jamy.

W oczach Duńczyka pojawił się wymowny zimny błysk. Widać otwarta wrogość w moim głosie nieprzyjemnie go zaskoczyła.

– Czyżbyś przyjął chrześcijaństwo, panie? – zapytał, kamiennym spokojem pokrywając zmieszanie.

– Ojciec Willibald to mój serdeczny przyjaciel – oznajmiłem.

– Od razu trzeba było tak mówić – odparował z lekką przyganą jarl – a powściągnąłbym się od grubiańskich żartów. Włos nie spadnie im z głowy, możesz być tego pewien. A co tam, pozwolę im nawet prawić kazania, niechże zdzierają gardła po próznicy. Powiadasz, że Alfred życzyłby sobie widzieć moją flotę z dala od brzegów Wessexu?

– Im dalej, tym lepiej – przyznałem.

– A dokąd mielibyśmy popłynąć? – zastanawiał się na głos, udając naiwność.

– Do frankijskich wybrzeży? – podpowiedziałem.

– Frankowie, aby się od nas uwolnić, złożyli mi wcale godziwą daninę – odparł niespiesznie. – Co więcej, pobudowali okręty i podarowali je nam, abyśmy jak najrychlej wyprawili się w drogę. Czy Alfred też gotów jest dać nam nowe statki?

– Jak rzekłem, masz opuścić Wessex, nie niepokoić Mercji, wziąć pod opiekę obu misjonarzy, a także oddać nam dwóch zakładników.

– Ach tak. – Uśmiechnął się. – Zakładnicy – rzekł i zamilkł, zatapiając we mnie wzrok. Naraz, z przyklejonym do twarzy uśmiechem, szerokim gestem wskazał wody ujścia rzeki. – Nie mam pojęcia, jaki kurs obrać.

– Alfred skłonny jest sypnąć złotem, bylebyś tylko się stąd wynióśł – zaznaczyłem – lecz ani jego, ani mnie nie zajmuje to, gdzie się podziejecie. A jeśli już pytasz mnie o radę, wiedz, że na twoim miejscu schroniłbym się w dalekich stronach, gdzie nie dosięgnie cię ostrze mego miecza.

Haesten roześmiał się w głos.

– Twój miecz, panie, zżera rdza – parsknął i wskazując kciukiem leżącą za swymi plecami krainę, dorzucił z nieskrywaną satysfakcją: – Wessex stoi w ogniu, a Alfred, zamiast walczyć, pozwala, byś drzemał.

Była to bolesna prawda. Na południowym widnokregu w rozmyty przez letnie mgły błękit porannego nieba były smugi dymu, dowodząc jasno, że okoliczne osady ogarnęła wojenna pożoga. A co działo się dalej, poza zasięgiem wzroku, nietrudno było odgadnąć. Trawione ogniem wschodnie rubieże saskiego królestwa przemieniały się w pustkowie. Tymczasem władca Wessexu – zamiast wezwać mnie, bym rozpędził wrogie hordy – przykazał mi pozostać w Londynie i strzec jego murów.

Na oblicze Duńczyka wypłynął chytry uśmiech. Pirat spytał:

– Czyżby Alfred niepokoił się, iż dopadła cię starcza niemoc i nie podolasz wojennym trudom, panie?

Nie przejąłem się zbyt niewczesną złośliwością szczwanego lisa. Spoglądając dziś w przeszłość, widzę ówczesnego siebie jako mężczyznę nadal pozostającego w pełni sił, choć musiałem wtedy liczyć aż trzydzieści pięć, a może trzydzieści sześć wiosen. Niewielu dożywa podobnego wieku. Wszelako sprzyjający los długo pozwolił mi zachować siły i pełną sprawność bojową. Wprawdzie skutek dawnej rany lekko utykałem na lewą nogę, lecz pozłocista nić mego żywota pozwoliła mi zyskać sławę niezwycięzonego wojownika. Mimo to Haesten – świadom, iż przybywam z ugodową misją – skwapliwie korzystał ze sposobności, by mnie rozjuszyć.

Zostałem wyprawiony z tym żebraczym poselstwem, gdyż u wybrzeży Kentu – stanowiącego już od lat wschodnią prowincję Wessexu – pojawiły się dwie wikińskie floty, na domiar złego niemalże równocześnie. Armia Haestena była z nich najsłabsza, a jej przywódca wydawał się zadowolony, iż udało mu się założyć twierdzę na ziemiach Kentu. Jego ludzie czynili wprawdzie wypady, by zapewnić sobie zapasy pożywienia i uprowadzać kobiety, lecz na razie nie ważyli się zakłócać

handlu prowadzonego wodami Tamizy. Najwyraźniej przebiegły wódz wołał się najpierw przekonać, jak rozwinie się sytuacja na południu Kentu, gdzie uderzyła horda morskich zabijaków o wiele potężniejsza od tej, którą sam dowodził.

Jarl Harald Krwawowłosy przywiódł ponad dwieście okrętów, na których pokładach aż roiło się od żądnych zdobyczy łupieżców. Jego armia wzięła szturmem nieukończony burh, w pień wycinając obrońców, a teraz rozlała się po ziemiach Kentu, niosąc ogień i śmierć, rabując i niewołąc. Niebo czerniało nad zgłiszczami wszędzie tam, gdzie przeszli ludzie Haralda. Alfred wraz z armią wyszedł naprzeciw najeźdźcom. Król był już jednak stareńki i wyniszczony przez choroby, dlatego dowództwo nad wojskiem spoczęło w rękach dwóch ludzi – jego zięcia, ealdormana Aethelreda z Mercji, i najstarszego syna aethelinga Edwarda.

Podszydzi strachem sascy panowie niewiele zdziałali. Stanęli obozem na szczycie potężnego lesistego grzbietu w samym sercu Kentu. Mogli stamtąd uderzyć na Haestena – gdyby zwrócili się na północ, mogli też stanąć do walki z Haraldem – gdyby pomaszerowali w przeciwnym kierunku. Armia Sasów zachodnich pozostała jednak na miejscu, gdyż jej dowódcy nazbyt się obawiali, że jeśli przypuszczą atak na któregoś z duńskich wodzów, drugi opadnie ich tyły. Ostatecznie Alfred zaczął wątpić w to, czy wojska saskie podolają połączonym wrogim siłom, dlatego wyprawił mnie do Haestena, abym skłonił samozwańczego jarla do wycofania się z Wessexu.

Gdybym dostał taki rozkaz, wraz z moim garnizonem uderzyłbym na ludzi Haestena i bagna Kentu przesiąknęłyby duńską krwią. Ale nie dostałem. W zamian przypadło mi w udziale niewdzięczne zadanie układania się z nieprzyjacielem, stary władca utwierdził się bowiem w przeświadczeniu,

iż jego ludzie dopiero wtedy mężnie stawią czoło dzikim zastępom Haralda, kiedy będą mieli pewność, że nie grozi im cios w plecy.

Duńczyk niespiesznie grzebał w ustach długim cierniem, aż wreszcie wydobył skrawek rybiego mięsa.

– Czemuż to wasz król zwleka, zamiast uderzyć na ludzi Haralda? – przerwał wreszcie milczenie.

– Wyświadczyłby ci w ten sposób przysługę – zauważyłem. Morski rozbójnik błysnął zębami.

– Gdyby Harald zginął – potwierdził wprost – a wraz z nim ta jego parszywa suka, moja flota znacznie urosłaby w siłę.

– Jaka parszywa suka?

Duńczyk uśmiechnął się, ucieszony z chwilowej przewagi, jako że wiedział o mych wrogach więcej ode mnie.

– Zwie się Skade – wycedził.

– Kto to taki? Żona Haralda?

– Jego oblubienica, kochanica, wierna suka i wieszczka.

– Pierwsze słyszę – odparłem.

– Będiesz miał jeszcze okazję więcej o niej usłyszeć, za ręczę. A kiedy już spotkasz Skade, przyjacielu, ogarnie cię niepowstrzymana żądza, by ją zdobyć i posiąść. Wiedz jednak, że ta wiedźma przy pierwszej sposobności skróci cię o głowę i przybije ją nad wejściem do swego dworu.

– Widziałeś ją? – zainteresowałem się, a gdy przytaknął, dorzuciłem: – I chciałeś ją zdobyć?

– Harald to gwałtownik – podjął Haesten, nie zaspokoiwszy mej ciekawości. – Prędzej czy później, idąc za niejasnymi radami kochanki, popełni błąd, a wtedy jego pozbawieni pana wojownicy przystaną do mnie – stwierdził z chytrym uśmiechem. – Gdybym miał dwakroć większą flotę niż teraz, nie minąłby rok, a Wessex leżałby u mych stóp.

Jak Gra o tron, ale prawdziwa.

„THE OBSERVER”

**Bernard Cornwell tworzy najlepsze
sceny batalistyczne spośród wszystkich
pisarzy, których czytałem.**

GEORGE R.R. MARTIN

Piąty tom bestsellerowej serii Bernarda Cornwella o losach bohaterskiego Uhtreda z Bebbanburga. Na jej podstawie BBC realizuje serial *Upadek królestwa*.

Duńczycy wciąż zagrażają królestwu Alfreda: jarl Haesten przywiódł do wybrzeży Wessexu osiemdziesiąt okrętów, a kilka tysięcy wikingów pod wodzą Haralda Krwawołosego pustoszy Kent. Uhtred, dowodzący teraz załogą Londynu, chce walczyć z Haestenem, ale z woli władcy układa się z nieprzyjacielem. Alfred rozkazuje mu też wyruszyć do Aescengum – tam bowiem zamierza rozgromić armię Krwawołosego. W drodze do warowni Uhtred rozbija oddział dowodzony przez piękną i niebezpieczną Skade, kochankę i wieszczkę Haralda...

Więcej o całej serii:

www.wojnywikingow.pl

E-book dostępny na woblink.com

ISBN 978-83-7515-531-0



9 788375 155310

Cena detal. 54,90 zł



WYDAWNICTWO
OTWARTE

